

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 10.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 21 listopada 1859.
3 grudnia
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM

TREŚĆ NUMERU.

Dominik Magnuszewski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wnętrze fary w Bieczu (z drzeworytem). — Kościół katedralny w Poznaniu (z drzeworytem). — Lisowczyki (z drzeworytem). — Karol Szajnocha (dokończenie). — Kronika sztuk pięknych. — Korrespondencya od redakcyi. — Historia jedynaczka w 32 obrazkach (z pięcioma drzeworytami) ciąg dalszy. — Szachy i rebus.

Dominik Magnuszewski.

Urodził się na Mazowszu 1810 r., we wsi Ustanowie, dziedzicznej jego rodziców, Hiacynta i Maryi z Borakowskich Magnuszewskich. Wątle od urodzenia zdrowie, nie obiecywało mu długiego życia. Matka, dotknięta już początkiem nieuleczonej ślepoty, z zamglonym wzrokiem, otaczała całą troskliwością słabą dziecinę. W piątym roku jego życia ciemna noc zakryła jej świat na zawsze; w samej sile wieku zmarła. Mąż owdowiał, sprzedał wieś, która mu tyle smutnych wspomnień obudzała, i osiadł w Augustowskim, oddawszy w opiekę ojcu zmarłej żony czworo drobnej dziatwy.

Sędziwy już w wieku Dominik Borakowski, sędzia najwyższej instancyi, który kontusza i żupana nigdy nie zrzucił, zajął się wychowaniem powierzonych sobie wnucząt. Najstarszy, Dominik, po przygotowaniu domowym oddany do liceum warszawskiego, skończył je w ciągu lat kilku, a następnie wszedł do uniwersytetu aleksandryjskiego na wydział prawa i administracyi. Zanim został jeszcze uczniem liceum, w domu dziada swego tradycyę narodowe chwycił chciwie do głowy i serca.

Przyjacielem nieodstępnym Borakowskiego był Andrzej Plichta, sędzia najwyższej instancyi królestwa polskiego, w latach nieco młodszy i krzepciejszy w siłach. Zawsze dzień niemal po dniu, odwiedzał Borakowskiego, a dwaj kontuszowce, przy lampce wytrawnego węgryzyna, gwarzyli z sobą po kilka godzin. Młody Dominik przesiadywał ciągle z nimi; obie te postacie wryły się głęboko w jego pamięci, a wyróżniały się wielce, wśród z cudzoziemska przybranych mieszkańców Warszawy.

Borakowski żył w ścisłych stosunkach przyjaźni z malarzem nadwornym króla Stanisława Augusta, Bacciarellim. Artysta ten malował jego portret i córki jego Maryi, matki naszego poety. Te wspomnienia dawniejszego stanu Warszawy i Bacciarellego, odbiły się później w utworach Magnuszewskiego:

„Zemsta panny Urszuli,“ i „Posiedzenie Bacciarellego.“

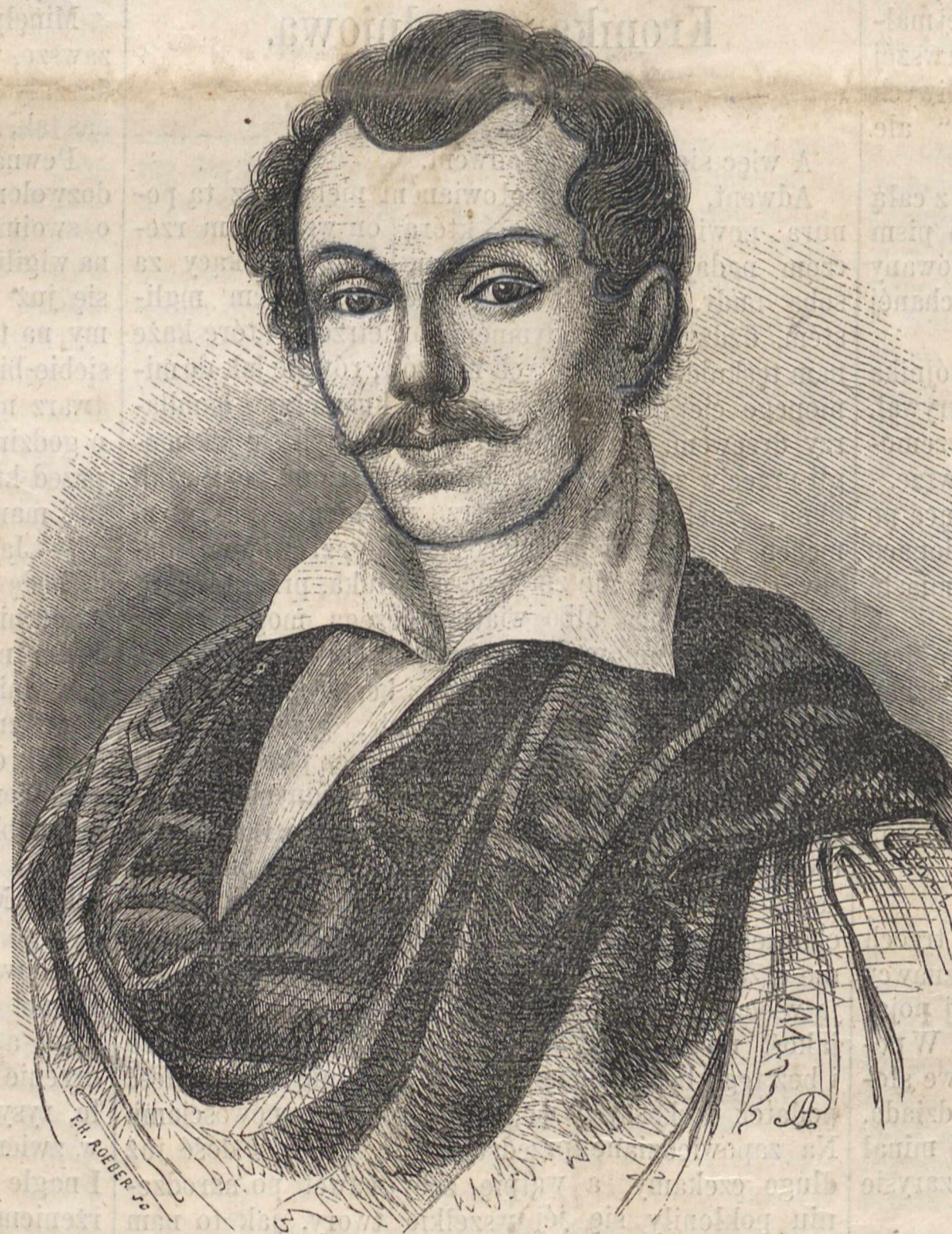
W liceum i uniwersytecie zaprzyjaźnił się z Fryderykiem Szopenem, Zygmuntem Krasińskim i Konstantym Gaszyńskim. Właśnie była to chwila kiedy J. U. Niemcewicz „Janem z Tęczyna,“ Bernatowicz „Pojata,“ Klementyna Tańska „Dziennikiem Franciszki Krasińskiej,“ Fryderyk hr. Skarbek, którego ulubieńcem był Magnuszewski, „Panem Starostą,“ rozpo-

zu, bo mu brak znajomości nie tylko gruntownej jako jów, ale i szczegółów domowego życia.

Wkrótce potem urządzenie w Warszawie teatru i jego zmaitości dało pochop Magnuszewskiemu do przedsięwzięcia się na pole komedyi. W r. 1818 przedstawił jego komedyą wierszem w jednym akcie „Stary kłopotyler,“ w której Niwiński wybornie odegrał rolę tych łowców. Zaszczytne przyjęcie tej sztuki zachęciło Magnuszewskiego do napisania w dwóch aktach „Panem Starostą,“ a w następnym drugim komedyi p.n. „Zdzisław, i pięskutki płochoci,“ którą przedstawił w r. 1829, z równym jak pierwszą panęły dniem.

W r. 1831 młody autor otrzymał na fary, mość o niebezpiecznej chorobie ratusza, swego. Dosiada więc konia, pędzi wiec, dziś bez spoczynku, ale znajduje małą budowlę zwłoki swego opiekuna. Śmiercią rozsywstrząsnęła jego duszę i głęboko smuciła.

Na początku roku 1832 przybył do Galicyi na Pokucie, w stylu bu- stale. Józef Dzierzkowski, znany nam lepiej pisarz galicyjski, w „Powieści o życiu czarnych poświęconej pamięci Magnuszewskiego wspaniale opisuje pierwsze z nim poznanie i na miej- „Było to w późnej jesieni, w czasie zburzenia, które wiatr unosił nad mańskiego Prutu wody; poznałem go bowiem krzyżując Pokuciu naszym, nad brzegiem tam się ze póstorycznej, która mu potem tyłkna, w bonaszemrała w ucho wieści, o woiieszczone, prawach, o bukowińskiej kłęsci oświecają dnie posępne, więcej jak posępne tam silne wrażenie jakie zrobocznęj, odcałą postawą i twarzą swoją. Błony słuskurczony, z twarzą młodą a stawa od dołu, szczkami, temi smugami, która widocznie swój przechód ława wewnętrzna w pier- się dziwnie pięknym, bo na czolubudowane, myśl, ta prawdziwa korona ludzka to poznać jego blask wyższości umysłowej. dwuuczne cowite obudzonej duszy, walka i nane. Sta- łem, wyraźnym alfabetem wypisów, zapewnia tej twarzy, nie nie mówiącej obok zakoń- którzy nigdy nie sylabizowali alfemnie staro- ciowego. Cierpienie występowało w mboni i in-



DOMINIK MAGNUSZEWSKI.

czeli pierwsze ocknienie się narodowo-historycznej powieści.

Magnuszewski, Krasiński i Gaszyński postanowili razem napisać powieść historyczną, i wydali ją w trzech tomach p. t. „Władysław Herman i dwór jego.“ Magnuszewski pierwszy porzucił ten rodzaj pracy, utrzymując że pomimo zapału i instynktu artystycznego, nie ma głównego zasobu do historycznego obra-

z wychudzonych liców. Żal mimowolny śszeńć kaplic, moje, żal przecuciowy, jaki nieraz rozłknem obrarze, na których, rzeczby można, Baltazar i tarze, trzy wypisany smutek i krótkka ich przyszłośćawnemi rze-

Z wiosną, wróciwszy do ruchu, do koni przydają. Zyskał dawne siły i zaczął znów pracować. W tym czasie napisał dramat w pięciu aktach wierszem, „Hierch, z których jowski,“ i wiele drobnych poezyj, (go, zmarłego acwzbroile-

większych rozmiarów gawędę „Morawski konfederat barski,“ która zwróciła uwagę Wincentego Pola na owe czasy), rozczytując się pilnie w starych kronikach i dziełach dawniej literatury, jakie miał pod ręką.

W r. 1834 Augustyn Bielowski wydał noworocznik „Ziewonia.“ Złożyli w nim prace swoje wszyscy ówczas tworzyli we Lwowie jedno kółko literackie. Pomiędzy niemi Magnuszewski i Bielowski w tym noworoczniku dwa utwory poetyczne, „Młodzieniec“ i „Wiosna“ fragment historyczny i wyjątek z poe- dramaty p. n. „Młodzieniec;“ z prozy potkę historyczną „Guy-du-Faur czyli pacta con-“ . We cztery lata później Józef Borkowski za- zał wydawać pismo zbiorowe „Prace literackie“ (1838), ale tylko pierwszy tom ogłosił. W nim, cz drobnych poezji Magnuszewskiego, umieścił zele powieść prozą „Zemsta panny Urszuli,“ któ- rwszechną na autora zwróciła uwagę. Tenże sam awca we Lwowie r. 1844 ogłosił „Album na ko- pogorzalców.“ Nim jednak ujrzał dzieło to uku skończone, umarł, a Bielowski zamknął al- smutnym wspomnieniem o życiu i pismach Jó- Borkowskiego. W nim trzy większe utwory poe- e Magnuszewskiego czytamy: „Do sióstr moich,“ e piastunek“ i „Dramat w naturze,“ we trzech iach. Dwa szczególnie pierwsze nacechowane są kim smutkiem, rzewnością i jakby przeczuciem iej śmierci. Czuł niktącej siły i opisał łzami ser- cierpienie poety umierającego w pół drogi. Do- ty boleśnie zgonem Józefa Borkowskiego, w po- nce której dał nazwę „Herbata“ ostatkiem sił h zapłakał nad zgasłym przyjacielem, a malując ne uczucia poety, któremu tchu brakuje do spie- cierpienie pisarza, któremu czasu już nie staje, de w myśli wyrobione dzieło spisać dla pożytku ków, płakał on nad sobą, malował własne uczu- cierpienia.

ukał szczęścia i spokoju przy domowym ognisku, iązku małżeńskim. Ożeniony z Karoliną z Kę- rich, znalazł to szczęście, ale prędko ono zniknęło: ił syna, a niedługo i przywiązaną, pełną poświę- żoną. Czuwanie przy niej bezsenne, zgryzota ąca go moralnie, wreszcie śmierć ukochanej mał- , wyczerpały resztę sił jego. Kiedy z pierwszej odżył nieco, otoczony troskliwością życzliwych chciał dokończyć dramatu „Kamil,“ ale puścić pióro z omdlałej ręki.

wrócił wrócić jeszcze jeszcze — Cóż — Daj — nieszczęśli — Cóż — Ona — Ign — chotnica, — Tę — A t — mylą. Wzi — bry; zły dz — rozum!.. U

Magnuszewskiego ogłoszonych drukiem iewiasta polska w trzech wiekach.“ Poznań

en składa się z trzech części: chrzest r. 1074 (prozą).

wy	w	jeszcze Gasztoldowa żona. Dramat. Rok (wierszem).
wa-	nie	Bacciarellego malarza (prozą), chciał ukazać niewiastę polską, w trzech ych od siebie epokach. Poważni znawcy
kiem	sk	godnie, że Magnuszewski najlepiej pojął i charakter Barbary Radziwiłłówny. W po- acciarellego malarza, pochwylił żywe słó-
z dru-	ż,	które zasłyszał w domu swego dziada, co do głównej postaci niewieściej minął
nie-	ci	da dziejową, w ogólnym jednak zarysie ał charakter czasu.
w dzie-	ws	1857 Seweryn Koszowski ogłosił wydanie wszystkich pism Magnuszewskiego, ale do- ylko we Lwowie tom pierwszy. Tom ten
ki	i	salonowy, dramat w czterech aktach m;
Piér-	jac	jeszcze Gasztoldowa żona. Dramat r. 1547. a święta, fragment dramatyczny pisany

w rękopisie dwa dramata wierszem.

o których wspomnieliśmy: „Hieronim Radziejowski“ i „Władysław Biały,“ oraz Kamil (niedokończony); z komedji zaś „Stary kawaler,“ i „Zdzisław, czyli skutki płochości.“

Z drukowanych po różnych pismach, oprócz już przywiedzionych powyżej, wspomnieć musimy rozpra- wę pełną nowych myśli i poglądów „O dramacie,“ po- wieść historyczną „Dwie abdykacje“ i „Dramat ludz- kości,“ oprócz drobniejszych poezji, z których część B. M. Wolf w Petersburgu ogłosił 1853 r. w „Skarb- czyku poezji polskiej.“ Tu pomieścił poemata: „Dra- mat w naturze,“ o trzech obrazach, wyjątek z poe- matu dramatycznego „Młodzieniec,“ „Wołoszczyzna“ fragment historyczny i kilka znanych już z druku poezji.

W czasopiśmie biblioteki Ossolińskich, przy po- wieści Józefa Dzierzkowskiego o życiu naszego poety, wydrukowano i gawędę Magnuszewskiego p. t. „Morawski konfederat barski.“

Magnuszewski niewątpliwie należy do rzędu pisarzy z prawdziwym namaszczeniem poetyckim; utwory jego, tak wierszem jak prozą, stawiają na to wymo- wne dowody. Za główny cel i zadanie swoje wziął dramat; ale najpiękniejsze, które w całości wykoń- czył, jak „Radziejowski“ i „Władysław Biały,“ zostają dotąd w rękopiśmie. Krytyka poważna nie oceniła jeszcze zbiorowo prac tego poety; życzyć więc należy ażeby wszystkie rękopisma jego ogłoszone zostały dru- kiem, a wtedy dopiero, niewątpliwie, oznaczy ona wy- sokie jego stanowisko w dziejach literatury polskiej.

Wizerunek jaki podajemy jest wiernym przerysem z olejnego portretu, malowanego z natury w r. 1833 przez artystę lwowskiego Jabłońskiego. Zaleca się wielkim podobieństwem do naszego poety, jak w tych czasach wyglądał. Później cierpienia moralne i fizy- czne zmieniły wielce jego oblicze. Wizerunek na rok przed śmiercią Magnuszewskiego zdjęty, przyłą- czył Seweryn Koszowski do wydania tomu Igo pism jego.

Kronika tygodniowa.

A więc się już zaczął adwent.

Adwent, ze swoim ołowianym niebem, z tą po- nurą powierzchownością, którą on wszystkim rze- czom nadaje, adwent, konanie roku, wlokący za sobą nudy, jak każda zgrzybiałość, z tém mgli- stym, dżdżystym i zadymnym powietrzem, które każe nam tęsknić do przyszłych mrozów, równie jak do mi- nionego ciepła. Piękna pora dla kuśnierzy i handla- rzy drzewem. Warszawianie ubezpieczyli się jak mogli przeciw zewnętrznym niedogodnościom: pokitowali okna, zasłali je wewnątrz piaskiem, pokrytym mchem i solą, polepili piece i kominy, zrewidowali da- chy, czy tam się nie znajdzie jaka luka, przez którąby dęszcz-złoczyńca albo wiatr-włóczęga mogły zrobić inwazyę do domów. Więc ochronili się dobrze od wro- gów zewnętrznych; mogą teraz bezpiecznie i ciepło siedzieć w opatrzonych pokojach, grzać się przy kominku i słuchać obojętnie jak dęszcz płacze a wiatr lamentuje na dworze. Ale któż tych biednych Warsza- wian ubezpieczy przeciw wewnętrznym klęskom, prze- ciw jednostajności i nudom, które są najwybitniejszą cechą tej smutnej pory roku? Bo i co tu robić? Prze- chadzek już niema, zebrania towarzyskie jeszcze się nie urządziły, na wieś niema po co wyjeżdżać, zosta- ją więc tylko teatr i widowiska. A ten teatr zdumiał jakoś, nie myśli bardzo dogadzać widzom, bo wie że i bez tego będą musieli przyjść zapełnić salę i wnieść podatek do kasy. Więc się nie spieszy z nowościami. Na zapowiedziane przedstawienie „Ewy“ dość już długo czekamy, a wątpię żeby nawet po narode- niu pokłoniły się jej wszelkie twory, jak to nam pierwotna ludzkość historia opiewa, bo twory zbyt ociężale na to i leżą obecnie uspione snem zimowym. Ba, i nie dziwić się znowu tak bardzo: trzeba przecież czasu na wyprowadzenie z boku Adamowego tak spo- rego dramatu. To nie Minerwa, która z mózgu Jowisza jednym rzutem wytryska; pogańskie czasy minęły, narodziny są cięższe. Tak jest, dramata bokiem wy- łażą teraz; niechaj to jednak nie będzie złą wróżbą dla „Ewy,“ której wróżymy powodzenie, sądząc ze składu artystów wchodzących do tego dramatu.

I gdybyż nie ta muzyka, nie wiedzielibyśmy już na prawdę co z sobą począć. Dopisuje ona nam wcale obficie w roku bieżącym. Warszawa robi na przekór konikowi polnemu z bajki, który, jak wiadomo, śpiewał w lecie, a w zimie musiał tańczyć za to. Warszawa ca- ła lato strawiła na przechadzkach, a w zimie zabiera się do śpiewania. Co się zaś tyczy tańca, to już chyba na przyszły rok o tém pomyśli, a czasu jej nie zbrak- nie, bo karnawał spory, blisko dwa miesiące trwać będzie. Teraz więc muzykalna nastąpiła pora; bilety na koncerta p. Wieniawskiego rozkupione zostały z wiel- ką skwapliwością. Niemałe także zajęcia wzbudziły zapowiedziane wieczory muzykalne w resursiekupiec- kięj, których urządzeniem przyrzekł się zatrudnić p. Apollinary Kątski. Pan Kątski dowiódł już nam swo- jej umiejętności w urządzaniu zabaw tego rodzaju; nie ogranicza się on na samą tylko lekką i przystęp- ną muzykę, a klassycy, mianowicie niemieccy, stano- wią zawsze przeważającą część jego programatów. Winniśmy całym sercem przyklasnąć tego rodzaju za- powiedniom, bo tu przy zabawie i gust się wykształca, tém bardziej że wszystkie starania p. Kątskiego obró- cone są ku jednemu chwalebniemu celowi, którym jest korzyść nowotworzącego się instytutu muzycznego warszawskiego. Wprawdzie ta klassyczna muzyka nie tak będzie huczna, jak owa sławna bitwa pod Lipskiem, na którą w lecie tysiące słuchaczy zbierało się w do- linie Szwajcarskiej; ale wszakże i Beethoven ma swo- je zasługi, trudnoż znowu temu zaprzeczyć. Już to i za jego czasów musiały być zapewne tego rodzaju bitwy pod Lipskiem odgrywane, z czego, jak się zdaje, wielki ten mąż ogłuchł w młodym jeszcze wieku. War- szawianie będą niezawodnie na to samo narażeni, je- żeli zechcą dalej lubować się w podobnego rodzaju roz- rywkach muzykalnych jak te, które zeszłego lata mia- ły tu wzięcie.

Szykuje się tu opera, mająca być odśpiewaną przez samych amatorów; donosiliśmy już o tém, ale zaszyły modyfikacje w wyborze samegoż dzieła. Podobno już wybór stanowczo padł na „Błyskawicę.“ Opera ta z wielkim powodzeniem odśpiewaną była na scenie naszej, co zdaje się być dobrą bardzo zapowiednią.

Minęły już św. Katarzyna i św. Andrzej. Były, jak zawsze, w robocie zwierciadła, wosk i ołów, różne wy- darzały się wróżby, ale jedna w szczególności zajęła nas tak, że ją musimy opowiedzieć czytelnikom.

Pewna panna, której ani imienia ani nazwiska nie dozwolono nam tu wymienić, zapragnęła wiedzieć o swoim przyszłym. Czekala więc z niecierpliwością na wigilię św. Andrzeja, a kiedy ta nadeszła i wszyscy się już w domu spać pokładli, panna Ewelina (daj- my na to że się nazywa Ewelina), przywdziawszy na siebie biały, konieczny w tym razie strój, i umazawszy twarz na czarno, bo tak programat wróżbowy każe, o godzinie 11ej z wieczora zasiadła przed zwierciadłem, przed którym paliły się dwie woskowe świece. Siedzia- ła i marzyła, a miała czas po temu.

— Jakie to szczęście, mówiła sama do siebie, że to ja będę widziała mojego przyszłego, a on mnie wi- dzić nie może w tym kostiumie bez krynoliny i z tą brunatną farbą na twarzy; przelakłby się mnie nie- zawodnie. Ileż to poświęceń my biedne kobiety mu- siemy znosić dla tych niewdzięcznych mężczyzn!

Tak dumala i wpatrywała się ciągle w swoje rysy, oświecone migającym się świec blaskiem; a czas mi- jał szybko, dwunasta zbliżała się, już trzy kwadransy było, i Ewelinie niechący przypomniła się „Ucie- czka“ Mickiewicza, w której tak malowniczo oddane są tego rodzaju gusła.

Zdawało się że jakiś głos woła na nią: „Panno! panno! czy nie strach?“ jak w owej pamiętnej balla- dzie, a serduszko było mocno, coraz mocniej; jakieś drzenie owało członki, w oczach ęmic się jej zaczę- ło, rysy jej własne coraz bardziej uniewyrażniały się w zwierciadle, jak gdyby jakaś mgła je zakrywała. I nagle zegar zaczął bić dwunastą. Z pierwszym ude- rzeniem dzwonka, rysy uczernione panny Eweliny znikły i roztopiły się zupełnie w owej mgle zwiercia- dlaniej, która natomiast zaczęła się zgęszczać i przy- bierać coraz to widoczniejsze, wyraźniejsze kształty. Patrzy zdziwiona wróżbiarka, a w zwierciadle maluje się coraz widoczniej jakiś przedmiot, jeszcze trudny do rozpoznania. I rzeczywiście niełatwo sobie zdać sprawę z tych kształtów; postać to krótka, pękata, szarawa, bez żadnego wcięcia, z ogromnym, wypukłym brzuchem, nóg ani śladu prawie, główka mała, pomar- szczona w dziwne fałdy i festony, szyja zaś przewięza-

na jakimś postronkiem, tak jest postronkiem, do którego przyczepiona etykieta, a na niej widocznie coś napisanego. O biedny paniński losie! czyżby to miała być jaka potwora? czyż piękna Ewelina o takiej przyszłości marzyła w snach swoich dziewiczych? Nareszcie postać wyraźniej już zupełnie, kształty się uwidoczniają, i panna Ewelina widzi przed sobą.... zgadnijcie co?... Oto gruby i pękaty worek pieniędzy, zawiązany podług wszelkich reguł, z summa rubli, wypełniających jego wnętrze, na etykiecie wypisaną. Nie umiemy wam powiedzieć czy panna Ewelina była zadowolona z tego widzenia, to tylko pewna, że położywszy się do łóżka, miała różowe sny, a nazajutrz obudziła się w bardzo dobrym humorze. Kończymy, ręczę czytelnikom za autentyczność naszego opowiadania; więcej powiemy nawet, wróżba zaczyna się sprawdzać, zjawił się już konkurent, i chyba trzeba nam rzecz tę zamknąć, powtarzając z małemi zmianami znane zakończenie „Świtezianki“ Mickiewicza.

Wkrótce Kupido dwa serca przetka
Miłosnych grotów zarzewiem.
Kto jest ta panna?... piękna brunetka,
Kto worek rubli?... ja nie wiem.

Siedm komedij nadesłano już na konkurs z funduszu udzielonego przez hrabiego Starzeńskiego. Termin ostateczny przypada, jak wiadomo, d. 31 grudnia b.r. Ostatni to konkurs, więc już odwołania niema; kto nie weźmie nagrody, ten sam sobie winę przypisze, że się nie chciał współubięć z innymi. Fundusz Szyllerowski, jak się zdaje, inne już odebrał przeznaczenie, posłuży on na utworzenie stypendium dla odznaczającego się ucznia. Dobrze i to, bo pieniądze pomiędzy nami zebrane powinny być konieczne w kraju pozostać.

Donoszą nam że Pan Apollo Korzeniowski pisze nowy dramat. Właściwa to dla jego talentu droga, pragnęlibyśmy tylko żeby zechciał w tym swoim nowym dziele przychylniejszymi oczyma rozpatrywać się w świecie otaczającym go, który, chcemy wierzyć, nie jest w żadnym razie tak złym, jakim on go nam maluje. Bezstronność najpiękniejszym jest poety przymiotem. Gazeta Codzienna zakończyła obecnie w felietonie swoim druk dramatu Syrokomli, pod tytułem: „Wyrok Jana Kaźmirza.“ Utwór ten, jak słyszeliśmy, nabył już księgarz tutejszy, pan Henryk Natanson, i ma go wkrótce wydać. Donoszą nam z Wilna, że Syrokomla pracuje obecnie nad nowym dziełem dramatycznym. Radzilibyśmy mu jednak, żeby zaczął pisać nie już obrazy dramatyczne, ale *dramata* prawdziwe. Wyraz ten oznacza *działanie*, w utworach zaś Syrokomli pięknych wierszy wiele, nie brak wzniosłych myśli i ładnych ustępów, ale całość w żadnym razie nie odpowiada tytułowi, i z tego rodzaju utworów scena rzeczywistego pożytku mieć nie może. Mogą się one cieszyć chwilowym powodzeniem, bo zwykle uderzają w najsilniej oddzwikającą strunę serca słuchaczów; w żadnym jednak razie nie odpowiedzą wymaganiom prawdziwej sztuki, która nie temi chodzi drogami. Za to komedia „Szlachectwo duszy“ p. Chęcińskiego, z wielkim w Wilnie przedstawioną została powodzeniem. Jako dowód współczucia, jakie utwór ten potrafił obudzić w Litwinach, pan Chęciński otrzymał w darze od nich śliczne album, z podpisami tamiecznych poetów, literatów, artystów i obywateli. Śnać szczęśliwa gwiazda przyswiecała rozpoczęciu tego dzieła, które się tak niezmiennym cieszy powodzeniem; życzymy z serca naszemu poecie, żeby dalsze jego utwory podobny, jeżeli nie już większy, wzbudziły zapał w tym ogóle, którego zdanie, jak powiada przysłowie łacińskie, jest głosem Boga. Donosiliśmy już o nowej komedii, wyszłej z pod pióra zasłużonego naszego dramaturga, Józefa Korzeniowskiego; dzisiaj wolno nam obwieścić, że komedia ta będzie wkrótce czytana w prywatnym kółku literatów i artystów, których przyklask, jako ludzi czujących i ceniących sztukę, zawsze bywa pożądanym od innych. Zresztą nowości literackich niema prawie; wszystkie wydania chowają się na gwiazdkę, która nas, jak zwykle, zasypie zapewne stosem nowych publikacji.

Pamiętamy dobrze znany, a w Polsce w szczególności przyjęty, aksjomat chrześcijański: „kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem,“ i zamierzamy go zaraz tu w czyn wprowadzić względem sąsiadów naszych, potomków walecznego Arminiusa, którzy po prawdzie mówiąc, nie szcędzą nam przymówek i nagan, gdzie tylko i jak tylko mogą. Owóż my

w zamian zamierzamy tu pochwalić jednego z nich, a mianowicie uczonego doktora Steinrotha, który, jak nam ogłaszają dzienniki, przysłużył się ludzkości znakomitym wynalazkiem, zapewniającym jej wyżywienie, w przypadku zbyt obfitego rozplodzenia się plemienia człowieczego na ziemi. Pan Steinroth radzi, aby bydłom przeznaczonym na rzeź upuszczać krew, która jest pożywniejszym jeszcze pokarmem jak mięso samo. Dowodzi on, że takie peryodyczne upuszczanie krwi nie szkodzi bydłociu, że według odbytych przez niego doświadczeń operacją tę czynić można co tydzień, a zwierzę przyciem może żyć długo i dwakroć z niego więcej będzie żywności, aniżeli dotąd, gdy się je od razu zabijało. Francuzi, jako naród zwykle lekkomyślny i strasznie na upuszczenie krwi drażliwy, powstają przeciw temu wynalazkowi; my zaś najwyraźniej oświadczamy się za nim, owszem poważamy się tu przypomnieć inny podobnego rodzaju wynalazek, który, chociaż dawniej już ogłoszony, niewiadomo dlaczego nie wszedł dotąd jeszcze w użycie. Szło tu głównie o wyżywienie wojska będącego gdzie w pochodzie, albo karawany podróżującej przez bezludne okolice. Człowiek również uczony radził, ażeby w takich razach prowadzić ze sobą pewną ilość bydła, mianowicie zaś wołów, które, jak wiadomo, największą ilość mięsa mają na sobie, i kolejno z nich wyrzynać z miejsc najbardziej mięsistych bifsztyki, rostbify, zrazy i t. d. Rany wkrótce się goją, mięso zarasta, i za tydzień wół staje się znowu zdolnym do operacji. Ten wynalazek wydaje nam się nawet daleko praktyczniejszym od pomysłu pana Steinrotha, bo co mięso, to nie krew, a wołowi wszystko jedno czy ma mieć żyły przecięte, czy ma być żywcem krajany. Wszak tu idzie tylko wyłącznie o korzyść ludzkości, i zdaje mi się że bacząc na ten cel, znacznieszą robię jej przysługę ogłoszeniem powyżej wspomnianego wynalazku, aniżeli pan doktor Steinroth.

Ale... zajęty tak ważnemi społecznymi kwestyami, byłbym na śmierć zapomniał o korespondencji, którą w tych dniach otrzymałem z prowincyi. Przytaczam ją w najwierzytelniejszej kopii.

Szanowny panie kronikarzu tygodniowy!

W tych dniach dopiero dowiedziałem się w moim zakładku o uroczystości, z jaką Warszawa obchodziła pamiętkę Szyllera. Gdybym był w Warszawie, chętniebym do tego obchodu dorzucił i moje trzy grosze, bo chociaż teraz od kilkunastu lat siedzę jak niedźwiedź w mojej samotni, i ja niegdyś bywałem pomiędzy ludźmi, bawiłem dość długo w waszém mieście i zajądałem u nieboszczyka przewyborne kapłony, na których wspomnienie teraz jeszcze ślinka mi do ust idzie. Raczące, szanowny kronikarzu dobrodzieju, zamieścić w swoim pisaniu ten mój hołd, który szczerze oddaję pamięci zmarłego, a przyciem pozwól mi jeszcze jedną uczynić mocą. Niesprawiedliwem by było, gdyby Warszawianie, obchodząc pamięć Szyllera, zapominali tak z kretelem o Poziomkiewiczowej, która równie dobre jak i tamten kapłony piekła. Wartałoby więc i jej poświęcić jaką uroczystość, w którejby niemniej zapewne osób wzięło udział, boć to Szyllera nazwisko zawsze niemczyzną trąci, a nieboszczyka Poziomkiewiczowa czysto nasza rodaczka. Raczące więc, szanowny kronikarzu, stosowny w tej mierze projekt przedstawić do uznania publiczności warszawskiej. Chcię przyjąć etc. etc. (*)

R* z Podlaskiego.

Pożądaną czytelnikom donosimy wiadomość. Warszawa przyozdobi się znów jednym jeszcze dziełem utalentowanego artysty p. Sosnowskiego, który już taką czią nietylko u swoich, ale u obcych potrafił opromienić sztukę naszą rodzinną. W tych dniach, jak słyszeliśmy, przybył do Warszawy posąg wielkich rozmiarów Tadeusza Czackiego, przez p. Sosnowskiego wykonany, który podobno pomieszczonym zostanie w kościele panien Wizytek. Obszerniejszy opis, a może i wizerunek tego posągu, damy w „Tygodniku“, w czasie późniejszym.

(*) Znaną była dobrze Warszawianom przed kilkunastu latami traktierna Szyllera przy ulicy Długiej, w bliskości dawnego teatru. Zakład ten służył za wyborynych kapłonów pieczonych. Po Szyllera sława ta przeszła na Poziomkiewiczową, która już przy dzisiejszym teatrze trzymała swój zakład traktierny.

Wnętrze fary w Bieczu.

Starożytne miasto Biecz, w rokosznej dolinie nad rzeką Ropą wśród cudnej okolicy w Galicyi, w obwodzie jasielskim położone, było niegdyś warownem i wielce zamożnem, tak iż je małym Krakowem nazywano. Jest to najdawniejsza może osada w Galicyi, biorąca miano swoje od przyległych gór Bieszczadów, zwykle Bieskidami zwanych.

W historii występuje już pod r. 1125. Król Wacław czeski i polski zamienił Biecz na inne dobra kościelne z biskupami krakowskiemi w r. 1294; lecz gdy r. 1311 Krakowianie przeniewierzyli się Władysławowi Łokietkowi i Bolesława księcia opolskiego obrali, w czem najsilniej dopomagał im Muskata, ówczesny biskup krakowski, wtedy król, opanowawszy stolicę Biecz, własność biskupią zabrał i na wieczne czasy do korony przyłączył. Kaźmirz Wielki w roku 1343 nadał miastu prawo magdeburgskie, wyrażając w przywileju lokacyjnym, iż osada ta sięga niepamiętnych czasów. Król Ludwik zamek pograniczny w Bieczu oddał pod zarząd starostów, a wiekopomna córka jego Jadwiga wystawiła i bogato uposażyła tutejszy szpital, który to fundusz do dziś dnia prawie wszystkich ubogich mieszczan jałmużną wspomaga.

Tu w r. 1400 odbył się zjazd Władysława Jagiełły i znakomitych panów polskich, na którym ułożone zostało powtórne małżeństwo tego króla z Anną, córką Wilhelma hrabiego Cylejskiego, a wnuczką Kaźmirza W. Tu w r. 1612 przyszedł na świat, w domu który dotąd istnieje, Marcin Kromer, znakomity dziejopis polski i biskup warmijski. Tu wreszcie, jako w miejscu gdzie najwięcej ścinano opryszków karpaczkich, była jedyna na cały kraj szkoła w której się uczyli swego rzemiosła i wyzwalali kaci.

Dziś z dawniej świetności Biecza zaledwie szczątki pozostały; tylko miejscami jeszcze poszarpane okopy i na szmaty porozdzierany mur opasują biodra lichych chat zubożałej miejsciny, a strzechą pokryte domy świecą pustką, co wygląda pięknem nieraz oknem lub na zawsze już otwartą ozdobną bramą. Spadły już piętra z zamku królewskiego, na posadzce grodu wznosił się budynek szpitalny, a z gmachu starostów stanęły cele oo. reformatów. Wśród tych ruin i ubóstwa, jak olbrzymy stoją jeszcze w całości kolosalna fara, i z daleka widzieć się dająca wieża dawnego ratusza, w którym niegdyś cech katów miał swój miecz, dziś jeszcze dochowany. Z innych starożytnych budowli została strażnica i dwie do połowy w gruzach rozsypane baszty.

Najcenniejszym jednak zabytkiem poprzedniego stanu Biecza jest wspaniała tutejsza kościół farny, wielka, poważna, w pięknym germańskim stylu budowa, zewnątrz niebielona, aby tym sposobem lepiej można widzieć sztuczny układ czerwonych i czarnych cegieł. Wnętrze tej świątyni niemniej jest wspaniałe i wytwornie urządzone, jak pokazuje rysunek na miejscu zdjęty, który tu w drzeworycie przedstawiamy. Zbudowana jest w stylu przechodowym z romańskiego w gotycki. Sklepienie jej, przyozdobione krzyżującymi się z sobą wypukłemi żyłami, zdaje się że później przerobionem zostało. Niewielkie okna, w bocznych nawach u góry pod sklepieniem umieszczone, ładnymi kamiennymi ramami opatrzone, oświecają wnętrze.

Nawa środkowa, dwa razy szersza od bocznej, oddzielona jest czterema parami ośmiogrannych słupów, których podstawa z ciosu, kwadratowa od dołu, wierzchnie rogi ma ścięte. Presbiterium widocznie z późniejszego pochodzi czasu, a zapewne w pierwszych początkach XV wieku jeżeli nie zbudowane, to przynajmniej zasklepienie zostało, jak to poznać można z bogatej sieci żył ozdabiających dwuluczne sklepienie, z obu stron lunetami poprzecinane. Starożytny ołtarz, ze znaczną liczbą obrazów, zapelnia ostatnią ścianę presbiterium, w półośmiobok zakończonem. Całość wnętrza tej świątyni technie starożytnością, pomimo nowoczesnych ławek, ambony i innych dodatków. Na bokach znajduje się sześć kaplic, równie jak sam kościół starożytnych, pięknymi obrazami ozdobionych; zresztą suto złożone ołtarze, trzy chóry muzyczne, oraz kilka stallów z dawnymi rzeźbami niemało mu blasku i okazałości przydają.

Prócz tego znajdują się tu dwa znakomitej wartości pomniki grobowe kasztelanów bieckich, z których jeden Mikołaja Ligezy, starosty bieckiego, zmarłego w r. 1578, w alabastrze przedstawia postać w zbroi le-

żącą; nad nią w płaskorzeźbie dzielny stojący koń pod względem sztuki nic do życzenia nie zostawia. W zakrystyi przechowuje się oryginalny portret Kromera, w kościele zaś tablica podługowata z brązu, pamięci przodków naszego dziejopisa poświęcona, a przez niego w r. 1557 umieszczona.

Jest jeszcze w Bieczu kościół oo. reformatów, wystawiony w r. 1642 przez Jana Wielopolskiego, tułajskiego starostę, w którym bogate archiwum tudzież ciekawe rękopisma się przechowują. Są też i inne tam pamiątki i wspomnienia, o czém wkrótce zapewne czytać będziemy w historii tego miasta, przygotowanej do druku przez p. Józefa Łepkowskiego, zacnego i szanownego współpracownika naszego „Tygodnika.“

KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W POZNANIU.

Jeżeli zwiedzając stary Poznań, dawną Wielkopolski stolicę, przykrego, wędrowcze, doznasz wrażenia, spoglądając na słynną jego katedrę, na zewnątrz zupełnie dziś odartą z historycznego uroku, nie zrażaj się smutnym tym pozorem od przestąpienia progów świątyni, przyjrzyj się bacznie marmurowym i spiżowym jej pomnikom, wyczytaj nawpół zatarte napisy, odżyw pamięcią te postacie w szatach kapłańskich lub w rycerską zakute zbroję, a znajdziesz czém nakarmić i serce, i wyobraźnię.

Tu oto nagrobek marmurowy słynnego Wawrzyńca Goślickiego, biskupa poznańskiego († 1607), jednego z najzacniejszych naszych duchownych, autora ksiąg: *De optimo senatore*, *De optimo cive*, broszury: „Witanie rad i stanów koronnych do króla Zygmunta III“, oraz wielu mów i wierszy ulotnych, posła do Węgier, Niemiec, Szwecyi i Prus. — Dalej w kaplicy Krzyża św. grobowiec Uryela Górki, także biskupa poznańskiego († 1498), co zebrałszy znakomity, jak na owe czasy, majątek, bo składający się, oprócz naczyń złotych, srebrnych i innych kosztowności, oraz summ wypożyczonych, jeszcze z 8535 dukatów w złocie, położył kamień węgielny ogromnego później bogactwa swej rodziny. Piękny ten pomnik, podobnie jak kilka innych tu znajdujących się, wykonał w r. 1574 sławny rzeźbiarz krakowski, Hieronim Canexi, z polecenia i nakładem Andrzeja Górki, kasztelana międzyrzeckiego. Tam znowu w kaplicy N. Panny Maryi stoi nagrobek w marmurze Andrzeja Szodrskiego, († 1650) największego dobrodzieja kapituły poznańskiej, a pod nim trumna metalowa, ze zwłokami tego biskupa. Szodrski, przy objęciu rządów dycezyi, zastał katedrę leżącą w gruzach po niedawnym (w roku 1622) pożarze, i nietylko z gruntu ją dźwignął, lecz przyozdobił organem, obrazami, wielkim ołtarzem, złotem i srebrnymi naczyniami i kosztownym aparatem. Nadto zapisał on kapitule wieś Wielichowo i poczynił testamentem liczne legaty dobroczynne. — Nieopodal kaplicy grobowej Mieczysława i Bolesława, zwaną złotą, ujrzyś wykutą z glazu postać owego Wawrzyńca Powodowskiego, kanonika gnieźnieńskiego i podobno kawalera maltańskiego († 1543), o którym istnieje poetyczne podanie, że ponieważ za życia zaniedbywał nieraz świętą ofiarę, musiał po śmierci przez rok cały w kamienną postać wychodzić z grobu i z dobytym orężem słuchać mszy wielkiej.

Ale porzućmy pomniki duchownych, których turazem jest 28, dla obejrzenia kilku zaledwie, poświęconych pamięci osób świeckich. Oto w kaplicy Krzyża świętego z czarnego marmuru nagrobek Andrzeja hra-

biego z Górki, kasztelana poznańskiego († 1553) i jego małżonki. Słynny to był swego czasu wojownik. W r. 1535 dowodził pod Tarnowskim częścią wojska i wielce dopomógł do odebrania Starodubu oraz kilku zamków obronnych. W r. 1538 król Zygmunt I wysłał go, także z Tarnowskim, przeciwko Wołochom, i towarzyszącego tej wyprawie młodego Zygmunta Augusta polecił szczególnemu staraniu Górki. Posłował też dwukrotnie do Ferdynanda króla rzymskiego, a na sejmie piotrkowskim (1550) przemawiał w imię senatu przeciw związkowi króla z Barbarą Radziwiłówną. — Dalej wmurowany w filar kościoła grobowiec brązowy Łukasza Górki, wojewody poznańskiego († 1475). Wyobraża on rycerza w zbroi, w całej postawie, z założonemi rękami, wspartemi po obu stronach na dwóch mieczach; pod nogami jego spoczywa lew. Całość, przedziwnie ze spiżu odlana, korzystnie świadczy o talencie swego twórcy.

Idźmy teraz za presbiterium i uchylmy drzwi obite szkarłatem, prowadzące do kaplicy Bolesławow-

obronny, łupiąc zeń domy prałatów. Az do początku 16 wieku szczupły, o jednej tylko wieży i pokryty dachówką, został następnie cały niemal przebudowany w kształcie okazalszym i pobity miedzią. Roku 1622, przez nieostrożność rzemieślników naprawiających dach wieży, spłonął ze szczętem, i pomimo licznych ofiar na odbudowę jego składanych, nie dźwignął się z gruzów, aż za biskupstwa wzmiankowanego wyżej Andrzeja Szodrskiego. W r. 1772 nowy pożar zniszczył trzy mniejsze wieże i dachy nad kaplicami, a wewnątrz wielki ołtarz, stalle, chór z organami i wszystko co było ze szkła lub drzewa. Staraniem atoli biskupów Młodziejewskiego i Okęckiego gmach przywrócony został wkrótce do dawniej świetności, i przybrał, z małemi różnicami, kształt w jakim go widzimy na załączonej rycinie.

Skarbiec katedry poznańskiej zasobny był niegdyś w naczynia i sprzęty złote i srebrne, wielkiej wartości i starożytności, które jednak, po większej części na potrzeby publiczne, zostały w różnych czasach spieniężone. Podobnie biblioteki, sięgającej początkiem swoim wieku 13, dawniej bardzo zamożnej, skutkiem kilkakrotnych pożarów, a bardziej jeszcze niedbalstwa i powszechnego nierządu krajowego, dziś niema prawie i śladu.

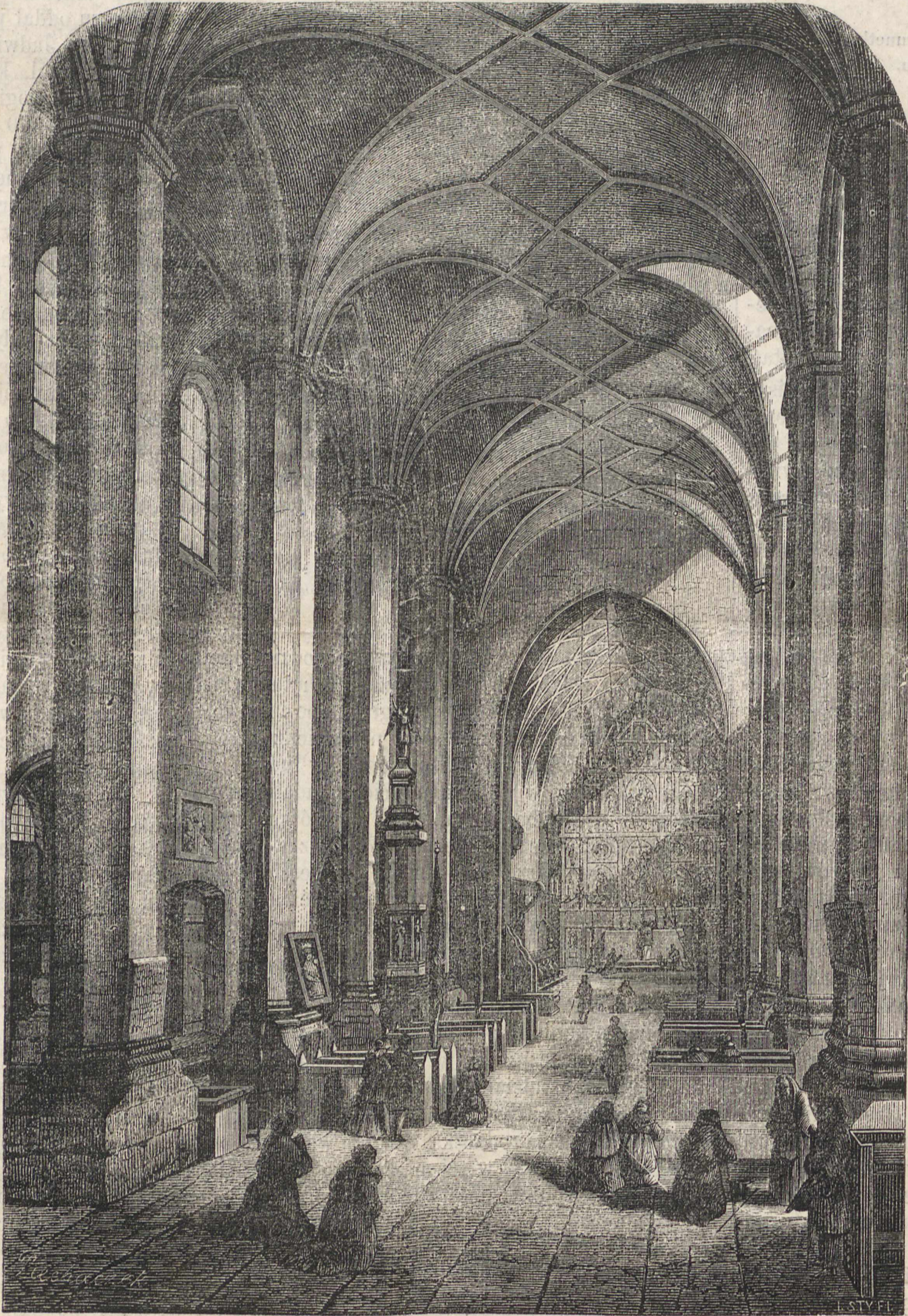
Lisowczyki.

Aleksander Józef Lisowski, szlachcic herbu Jeź, z rodu zagnieżdzonego początkowo w województwie pomorskim, który przesiedlił się do Litwy w początkach panowania Zygmunta III, zaczął rycerskie rzemiosło jako prosty żołnierz w Multanach od r. 1595, w chorągwi Jana Potockiego, starosty kamienieckiego. Następnie walcząc pod buławą Chodkiewicza w Inflantach (r. 1605), w chorągwi Niewiarowskiego był porucznikiem i miał udział w sławnym zwycięstwie pod Kircholmem (d. 27 września 1605 r.). Nie tu przecież zyskał Lisowski rozgłośnie imię; inne pole otworzyło się dla jego sławy.

Wiadome jest z dziejów zjawienie się Dymitra Samozwańca. Lisowski, z 200 ochotnikami lekkiej jazdy, miał czynny udział w tej wyprawie. Chorągwie jego nie miały oddzielnego nazwiska, i tylko ogólnym Kozaków mianem oznaczane były. Kiedy Zygmunt III w roku 1611 wyprawiał hetmana w lit. Chodkiewicza, wówczas sejm zasłużonemu Lisowskiemu dozwolił na zaciąg nowych hufców. Garnęła się młodź polska ochotnie pod dowództwo Lisowskiego, który zdobyć sobie potrafił tak rozgłośnie imię, że odtąd zastępy jego zwać się zaczęły Lisowczykami, chociaż gdzieindziej, dla szalonej odwagi i pogardy życia, *Straceńcami* ich zwano.

Dzielny ten wojownik, objeżdżając pod Starodubem swe szeregi, nagle z konia spada i umiera r. 1614, czy apopleksją, czy trucizną zgładzony.

Po śmierci Lisowskiego objął dowództwo Stanisław Czapliński, wybrany przez chorągwie Lisowczyków jednomyślnie, jako godny jego uczeń. Czapliński przyłącza się do buławy Chodkiewicza i w wyprawie dalszej podtrzymuje sławę imienia swego; ale ginie od kuli z muszketu r. 1618. Z płaczem rycerstwo go grzebie i wybiera jednogłośnie na swego hetmana Walentego Rogawskiego herbu Rola, Łęczycanina, który tak pod Lisowskim, jak i Czaplińskim świetne dawał męstwa dowody. Niedługo jednak gościły na tej wyprawie zastępy Lisowczyków, gdyż po zawartym t. r. rozejmie nad rzeką Dywiliną, wróciły do kraju i odpoczęły na leżach na Podolu i Ukrainie.



WNĘTRZE FARY W BIECZU.

skiej. Tu, jeśli serce twe cenić umie święte przeszłości wspomnienia, zadrżysz mimowoli, uderzony wyrazem potęgi i woli niezachwianej, co świeci przez spiżowe Chrobrego oblicze. Wspaniałe dzieło Raucha, pomnik Mieczysława I i syna jego Bolesława, wzniesiony ze składek narodowych i ofiary zacnego Edwarda Raczyńskiego, opiszemy kiedyś szczegółowiej, dając rysunek jego, oraz wnętrza kaplicy. Dziś zakończamy ten szkic pobieżny wzmianką o kolejach jakie kościół katedralny poznański w różnych czasach przechodził.

Założony około r. 966 przez Mieczysława I, w trzynastym wieku był już murowany. W r. 1310 Przemko, mieszczanin poznański, popierający książąt głogowskich przeciw Łokietkowi, obrócił go na zamek

Zahartowany do trudów, ruchliwy w ciągłych pochodach Lisowczyk, zostawiony w bezczynności, puścił się na swawolę i rozpustę; nie mogąc łupić obcych, zaczął swoich. Zygmunt III, poruszony skargami ze wsząd dochodzącymi, już rozmyślał ich siłą znieść i rozwiązać, gdy cesarz Ferdynand wezwał pomocy króla polskiego przeciw powstaniu Węgrów i Czechów. Przychylny król Rakuszanom, dozwala walczyć Lisowczykom na żołdzie cesarskim. Rogawski zbiera wszystkie chorągwie swoje, w 10,000 we wrześniu 1619 r. wyrusza, stacza walną bitwę z wojskami Rakoczego i pod Homonną 13 listopada t. r. pamiętną zadaje im klęskę wojennym podstępem. Kiedy bowiem zwycięstwo długo się chwiało, Rogawski ucieczkę swoim udaje rozkazuje. Węgrzy, uwiedzeni tym, rozrywają swe szyki, huzary rozsypują się po szerokich błoniach, hajducy obławą rzucają się na rabunek. Wtedy Rogawski dzieli swe chorągwie na cztery hufce, zwraca się i uderza na rozsypanych Węgrów. Teraz nie walka, ale rzeź następuje, 7345 poległych policzono, a Rakoczy ledwie samopiątką ujął. Zwycięstwo to ocala obleżony i ścisniony Wiedeń i koronę węgierską na skroni Ferdynanda utwierdza.

Zbogaceni łupami i rozpasani swawolą Lisowczyki, nie zdolni znieść surowego i porywczego Rogawskiego, który ich w karbach wojennego rygoru ściśle trzymał, zrzucili go z dowództwa, i nie mogąc się zgodzić na hetmana, pojedynczemi chorągiewami wrócili na Podgórze krakowskie. We własnym kraju wtedy zaczęli gospodarzyć po nieprzyjacielsku. Zebrani w koło generalne w Żmigrodzie, zgodnie wybrali na wodza swego młodego Jarosza czyli Hieronima Kleczkowskiego herbu Cholewa, ucznia także Lisowskiego. Lubo ten wojownik miał wielką między swoimi miłość i poważanie, nie potrafił swawoli zupełnie poskromić. Nanowo wezwani w pomoc cesarzowi, ruszyli za granicę 1620 r., ale nie wszyscy już razem. Kleczkowski z 4000 poszedł ku Wiedniowi; druga połowa, pod dowództwem dawnego wodza Rogawskiego, pozostała w kraju. Kleczkowski zastępujący mu pułk piechoty czeskiej w pień wycina pod Nikolsburg, znosi liczne zastępy i z taką szybkością przebywa drogę, że d. 3 lutego wyszedłszy z Polski, 8 t. m. stanął pod Wiedniem. Strach wielki padł wtedy na stolicę Habsburgów: sądzono że to zastępy nieprzyjacielskie, i wszyscy spieszyli do obrony. Radość po przestraczu była tém większą, gdy przekonano się że to wojsko polskie. Zaproszony przez Ferdynanda II wraz ze starszą, Kleczkowski powitał go mową po polsku, którą przetłumaczono cesarzowi. Ugoszczeni ochotnicy, z wojskami cesarskimi zwrócili się na Czechów. W krwawej i morderczej walce pod górą Burgschleinitz od kuli karabinowej ginie Kleczkowski. W jego miejsce wybierają Lisowczyki St. Rusinowskiego. Zwłoki Kleczkowskiego pochowano pod Krems, nad brzegami Dunaju.

Nie będziemy tu wyliczali poszczególnie wszystkich zwycięstw ich i klęsk; dosyć powiedzieć że przeważnie wpłynęli na zwycięstwo cesarza nad Czechami pod Białą-górą, dnia 8 listopada r. 1620. Trzy tysiące Lisowczyków, uderzywszy na zastępy Węgrów, łamie ich,

chocimskiej stanęło w obozie 5.000 Lisowczyków, pod wodzą Rusinowskiego, który ciężko ranny w początkach, już dłużej walczyć nie mógł; miejsce jego zajął dzielny Stanisław Strojnowski. W każdej potrzebie odznaczał się dzielnie ten hufiec mężnych wojowników i zasłużył sobie na wdzięczne w dziejach wyprawy chocimskiej wspomnienie. Po zawartym szczęśliwie z Turcją pokojem, kiedy wojnę Ferdynand przeniósł nad Ren i częste klęski ponosił, z polecenia jego książkę Karól Lichtenstein wezwał na pomoc bitne ich chorągwie. W końcu maja wyruszył Strojnowski, mając około 15,000 jazdy. Wyprawa ta miała więcej charakter wojny krzyżowej: tak ją Lisowczyki pojmowali, tak ich kapelan i dziejopis, Wojciech z Konojad Dębołęcki, szli bowiem walczyć z innowiercami. Dowodzą tego nadto artykuły cearskie czyli wojenne, które dla siebie ułożone w mieście Klattau (Klattau), niedaleko bawarskich granic, przyjęli i za-

twierdzili. Obyczajem swoim pochody szybko odbywając, napadali na nieprzygotowanych nieprzyjaciół i rozbijali. Postrach ich imienia trwoga całe okolice napełniał; zapuścili swe zagony za Renem, a gdy cesarz pokój zawarł, w r. 1623 wrócili do kraju. Król Zygmunt III wydał rozkaz, ażeby się chorągwie Lisowczyków natychmiast spokojnie rozeszły do domów. Posłuszny Strojnowski, z płaczem towarzyszących broni pożegnawszy, sam pierwszy chorągwie własne, czerwoną i czarną, od drzewców oddał i w grodzie Wschowy ukazał, jako dowód spełnienia rozkazu królewskiego. Wtedy to Jan z Rozrażewa, starosta odolanowski, wuj Jana Sobieskiego, który oglądał własnymi oczyma dzielność Lisowczyków pod Chocimem, zaprosił do siebie Strojnowskiego i znamienitszą starszą na sutą ucztę, wraz z wielką obywatelami wielkopolskimi i rycerskimi towarzyszami. Gdy wety podano, kazał wnieść na tacy kule z działa tureckiego na Lisowczyków pod Chocimem wypaloną, a wskazując na nią: „Oto wety wasze lisowskie, zawołał, któremi was Turcy częstowali.“ I wniósł ich zdrowie, wśród grzmotu moździerzy i okrzyku radosnym obecnych.

W r. 1624, na wezwanie cesarza, pod Strojnowskim i Kalinowskim, na nowo ruszyli mu w pomoc w 6000 jazdy. Kalinowski z większą częścią Lisowczyków pospieszył do Włoch, dla upokorzenia Lombardów i Wenecyan. Następnie, wezwani przez króla, przeciw Szwedom wystąpili, przeszedłszy pod buławę Stanisława Koniecpolskiego, hetmana polnego koronnego; później zaś objął nad nimi dowództwo Mikołaj Moczarski. Ten z chorągiewami Lisowczyków w wyprawie północnej r. 1634 świetnie się odznacza. Ostatnia

wielka wyprawa Lisowczyków wyruszyła na pomoc cesarzowi Ferdynandowi, pod wodzą Pawła Noskowskiego herbu Łada, Mazura, i Jana Gromadzkiego h. Oksza, Sandomierzana, za zezwoleniem królewskim w 7,000 koni. W r. 1635 rozwinęli swoje chorągwie,



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W POZNANIU.

rozbija i przeważa szalę bitwy. Pięćdziesiąt dwa sztandary zdobyli, a między temi chorągiew żółtą nieszczęśliwego króla Fryderyka. Smutne trofea, z niemi bowiem zginęła niepodległość czeskiego narodu!

Zbierała się właśnie burza nad Polską. Wojna z Tur-



LISOWCZYK.

cyą już była nieochybną. Lisowczyki powołani byli do kraju; połowa ich, pozostała pod wodzą Walentego Rogawskiego, w pamiętnej klęsce pod Cecorą poległa na placu bitwy; sam Rogawski, ranami okryty, ledwie uniósł życie. W następnym roku 1621 w wyprawie

Karol Szajnocha.

(Dokończenie).

na których z jednej strony był obraz Najświętszej Panny, z drugiej archanioła Michała. Przebyli Ren pod Wormacją i stanęli naprzeciw szyków francuzkich. Wkracząc do Szampanii, rozbijając po drodze zastępy tamujące im drogę. Ludwik XIII, przerażony, ściga zewsząd swe wojska. W bitwie pod Ivoy odnoszą zwycięstwo i w r. 1636 z końcem września wracają do Polski. Tu kończą się wszystkie wspomnienia o Lisowczykach i znikają oni bez śladu z karty dziejów naszych. Zapewne, jak i dawniej, na leżach spokojnych, swawoli i rozpuście oddani, zagrożeni surowymi uniwersałami sejmu i króla z lat dawniejszych, jako szlachta rozeszli się do rodzinnych zagród i tam szablę i spisę na lewicz zamieniwszy, zawodowi ziemiańskiemu oddali się zupełnie.

Imię Lisowczyka, które początkowo miało znaczenie mężnego wojownika, sponiewierali sami swawolą, do tego stopnia, że łotr a Lisowczyk były to synonimy. Zaprawieni w zagranicznych wyprawach do łupieży, powtarzali je na własnej ziemi. Kiedy Stanisław Strojnowski chorągwie swoje rozpuścił, znaczna część zuchwałych zaczęła się zbierać w napastnicze bandy, i ci to wyrokiem sejmu (1623) ze czci rycerskiej wyzuci zostali. Wyprawiony przeciw nim Karol książę Korecki, ściśnionych pod Tulczynem uskromił i ukarał. Zniesiono ich hufiec, a pojedynczego Lisowczyka każdy mógł zabić. Do tego stopnia oburzyli kraj cały na siebie, że w Voluminach Legum czytamy: „iż wywołaniec z kraju, jeżeli zabije Lisowczyka, od kary tym samym jest wolny i ma swobodny powrót do kraju.“ Za Krakowem po wsiach w jednym tygodniu stu sześćdziesięciu Lisowczyków wymordowali kmiecie. W roku następnym wrócić do czci rycerskiej, poszli na pomoc cesarzowi Ferdynandowi. Surowy wyrok sejmu zawieszono.

Potrzeba zaciągów zagranicznych niedługo ustała. Ze śmiercią Zygmunta III serdeczna przyjaźń z Austrią zerwana; uchwały zaś sejmu od r. 1624 do 1638 najsrożej zakazywały wstępowania zaciągom polskim w obcą służbę.

Lisowczyki, jak w początku pod pierwszym swym wodzem, który im nadał swe nazwisko, stanowili pułk jeden, tak wkrótce pomnożyli go ochotnikami w hufiec tak potężny, że do 20,000 koni nieraz liczył.

Oreż ich stanowiły spisa, szabla i przez plecy zawieszona rusznica, albo łuk z sajdakiem; u łęku wiślał młotek; koń lekki i wytrzymały. Wozów ani taborów te orle hufce, jak ich nazywa współczesny pisarz, nie znały.

Szyk bojowy mieli własny. Potykali się uderzając całym pędem w ściśnionym hufcu. Gdy nieprzyjaciel nacierał w przeważnej sile, Lisowczyki zmyślali ucieczkę, ale ta ucieczka była straszna, bo lotem ptaka zwracali się, uderzali na pewnych zwycięstwa i rozbijali zawsze.

Siodeł używali małych i lekkich, równie jak wędzideł. Gdy uderzali na nieprzyjaciela w całym pędzie konia, pokładali się na nim tak, że mało co ich dojrzał. Lisowczyk zarówno walczył siedząc, jak stojąc w strzemiionach, a gdy strzał mu celny zagrażał, związał się szybko pod brzuch konia swego lub zeskaکیwał na drugą stronę, nie wypuszczając jednej nogi ze strzemiienia. Po strzale już siedział napowrót i osłupiałego nieprzyjaciela kłół spisą lub rąbał krzywą szablą.

Głowy podgalali, zwyczajem polskim, czapki nosili wysokie, z wiszącym wierzchem; starszyzna używała niższych, futrem obłożonych. Płaszczki opięte, z szerokiemi kołnierzami, pod niemi ubiór różnobarwny; buty żółte, z długimi cholewami, dobrze okowane.

Rysunek Kossaka, który w drzeworycie podajemy, jest skreślony podług obrazu olejnego, zachowanego w zbiorze Dzikowskim (w Galicyi) po śp. Janie hr. Tarnowskim. Przedstawia jednego ze starszyzny Lisowczyków, ręką Pawła Rembrandta van Rhyn współcześnie malowanego. Któregoby z wodzów tego bitnego hufca przedstawiał, trudno dociec, pomimo herbu Leliwy, wyraźnego na sajdaku. Rembrandt w r. 1636, jak domyślać się można, wysłanego Lisowczyka do Amsterdamu jako gońca lub parlamentarza ujrzawszy, nową a niewidzianą dotąd postacią uderzony, w olejnym owym obrazie go unieśmiertelnił.

Obraz ten, w Amsterdamie nabyty przez Ogińskiego, posła Rzeczypospolitej w Holandyi, dla króla Stanisława Augusta, kupiony z pozostałych zbiorów tego monarchy przez ks. Strojnowskiego biskupa wileńskiego, dostał się spadkiem Janowi Tarnowskiemu.

O wartości prac żyjącego pisarza sąd zawsze musi być zawczesny, bo chociaż wiadomo jest co zrobił, niewiadomo co jeszcze zrobi. Przecież ze znakomitych już śladów pracy człowieka, który przeżył większą połowę żywota swego, można wnosić o zdolnościach, o kierunku, o duchu prac jego literackich, jeżeli nie o zasługach.

Nie ma żadnej wątpliwości, że do historii u nas nie rzucił się dotąd nigdy tak znakomicie poetyczny talent, jak Szajnocha. Rodzaj jego pisania jest obrazowy, rodzaj Baranta, Thierrego, Micheleta. Szajnocha nie tyle o wyświecenie przeszłości idzie, ile o to, żeby ją przedstawił w sposób malowniczy i piękny. Nie jest jednakże u niego forma pierwszorzędna rzeczą: Szajnocha bada, studyje rzeczywiście w przeszłości naszej, odkrywa nowe światy, rzuca na nie nowe poglądy; ale większy to zawsze, i dobrze większy poeta, jak myśliciel i krytyk.

Tę zbyt przeważną w organizacji swojego umysłu zdolność poetyczną, przeniósł Szajnocha do historii, bo wprzód był poetą, nim został historykiem, i ztąd płyną wady wszystkich jego prac naukowych, z kądną serdecznych, pożądanych, przesłicznych, które naród zawsze przyjmował i które czyta zawsze z miłością. W najcelniejszym i największym dziele Szajnochy, t. j. w „Jagielle i Jadwidze“, pełno jest rzeczy niepotrzebnych, urojonych. Szajnocha czasy kawalerskie Europy przenosi żywcem do Polski, i zdaje mu się, że prawie żadnej nie było różnicy pomiędzy naszym a obcym rycerstwem. Czasem się uwodzi pierwszym lepszym słówkiem kronik, nieostrożnym, niesprawdzonym przez krytykę, i na niem buduje całe systematy. Tak mnich niemiecki dostarczył mu powodu do oskarżenia o lekkomyślność Litwy i księcia Kiejstuta; tak drugie słówko było przyczyną, że zbyt ciemnym kolorytem nakreślił swoje obrazy pogańskiej Litwy. Krytyka wieleby miała do roboty, żeby każde malowidło sprawdzała w Szajnosze.

Ma nasz autor znakomity pociąg ku przedstawianiu faktów i przeszłości z nową zupełnie strony. Jest to słabość, która wiele ujmuje ślicznym jego pracom. W nauce historycznej polskiej, bardzo niedawno, w czas wyrzeczone słowo wielkiego mistrza, stworzyło ludzi i metodę. Do Lelewela, oprócz Naruszewicza i Czackiego, którzy także umieli chodzić około źródeł, nie mieliśmy historyka z powołania, ale mieliśmy historyków tylko z natchnienia, więc nieprzygotowanych do wielkiej pracy. Jeżeli tedy w jakiej historii to w naszej, praca sumienna autora może łatwo ukazywać co chwila nowe widoki. Ale niechże te widoki same z siebie przyjdą, niech historyczne postaci w nowych się szatach odsłonią narodowi, skutkiem odkryć rzeczywiście ważnych, znalezionych w grudach ateryatów. Szajnocha ze starych rzeczy, nowych ukazuje ludzi i zmienia dowolnie charakterystykę, jaka jest w kronikach i jaka się do nas podaniem wieków dostała. Tak Elżbieta Łokietkówna jest u niego ideałem niewiasty, matki, i nawet obywatelki, wbrew kronikom narodowym; ależ na poparcie tego pewnika Szajnocha nie znalazł dosyć faktów. Tak nieraz nie dowiódł Szajnocha wielu innych swoich założeń, bo zwykle uprzedzał się z góry, podług pierwszego lepszego wrażenia, i upodobawszy sobie taki lub inny charakter historycznej osoby, fakta naginał do pojęć, a nie z faktów domyślał się charakteru.

Prawdziwem za to arcydziełem jest „Bolesław Chrobry“, arcydziełem, któremu nic zarzucić nie można. Autor nie miał tu nic do roboty z fantazyą, z ideałami. Ideał wielkiego króla narysował w kronice swojej wróg jego, Dytmar Merzeburgski, wróg gorący Polski. Szajnocha wziął z niego wszystko co się odnosiło, do Bolesława, wziął też wszystko co mu potrzebne było do tworzenia z kronik innych, i namalował śmiało wspaniałym rylcem historycznym, jedną z największych postaci naszej historii i w ogóle ludzkości. Całe misterstwo artysty w tym było, żeby te drobne kamieszczki faktów i podań o Bolesławie, złożyć w najpiękniejszą mozaikę. Sztukował więc swoje opowiadania wyrazami kronik, obrazami tłumaczonymi dosłownie na polskie, tak dalece, że każdy tam niemal zwrot, każde słowo można usprawiedliwić cytacją kronik. Tu dla fantazyi pola nie było, bo szczupły jest zasób wiadomości, z których tworzyło się malowidło. Szaj-

nocha dobrze to rozumiał, że dodawać tu nic nie można, żeby nie zatrzcć prawdy, samej przez się wspaniałej i pięknej.

W czym także nieoceniony jest Szajnocha, to w owych brylancikach literatury, które przeżywa szkicami historycznymi. Na utwór wielki brak mu zmysłu krytycznego, ale w artykułach mniejszych jest nienasładowany, czarujący. Szajnocha pokazuje się tutaj nawet krytykiem. Ale zawsze wierny sobie, krytykę faktów umie tak doskonale połączyć z artystycznością, że niewiadomo czemu się wprzód dziwić, czy trafności spostrzeżeń, czy sile talentu w opowiadaniu.

W szkicu np: „Brody Krzyżackie“ Szajnocha zbija fakt, który przez nieoględność dostał się do dziejów, ale zbija go w sposób taki, że zdaje się czytamy śliczną powieść historyczną. Złośliwi kronikarze krzyżowi twierdzili, że Polacy po bitwach z Zakonem, poległym rycerzom razem z ciałem odcinali brody i składali je jako trofea po wspaniałych swoich kościołach, po większych katedrach, np. w Krakowie i Wilnie. Echo tych baśni rozległo się aż do naszych czasów, wszyscy wierzyli im na ślepo; nawet Teodor Narbutt jeszcze powtarzał te baśnie w swoich dziejach Litwy. Szajnocha ma powagę Decyusza na obalenie łatwe potwarzy; ale przytoczyć Decyusza, nie będzie powieści, a powieścią chce zbijać wieści o brodach krzyżackich. Więc tworzy obraz historyczny, przenosi nas w czasy wesela Zygmunta Starego z Barbarą Zapolską, wprowadza do katedry na Wawelu posła mistrza krzyżackiego, który idzie umyślnie oglądać brody krzyżackie, jako dowód barbarzyństwa polskiego. A Decyusz prawi posłowi: „Nie dąsaj się, miły bracie, i płochém, ba śmieszném podejrzeniem nie krzywdź uczciwego narodu: to buńczuki tatarskie wiszą po kościołach, ale nie brody krzyżackie, a buńczuków pełno po zwycięstwach Polacy składali w swych świątyniach. I oto w tej chwili, dodaje Decyusz, książę Konstanty uganiania się na Wołyniu za Tatarami; poczekaj, a zobaczysz jak wkrótce nowych ozdób przybędzie Pańskim świątyniom.“

Inne szkice są zupełnie powiastkami historycznymi, ale dlatego sama w nich prawda. Szkic „Przed sześciuset laty“ maluje nam Polskę szlaską w XIII wieku, na zasadzie dyplomatów klasztoru Henrykowskiego, wydanych niedawno przez Stenzla. Jest to sielanka, w której widzimy wielkich i drobnych właścicieli ziemi, gospodarujących obok siebie i w stosunkach codziennych; poemat to prozą, bardzo wdzięcznej woni, istny brylancik literatury. Taki sam brylancik, lubo mniejszej wartości, bo nie w takim stopniu zajmujący jak obraz Polski przed 600 laty, jest szkic „O husarzach i hułanach.“

Szajnocha kreślił też z prawdziwą miłością biografie dawnych Jagiellonek i w ogóle królewien naszych i kobięt, które stopami swemi dotykały tronu narodowego; na czele ich postawił wprawdzie Rakuszanę, Elżbietę żonę Kazmirza Jagiellończyka, ale była to zawsze „matka Jagiellonów.“ Drugi wizerunek jest Jadwigi księżnej bawarskiej, córki Kazmirza i Elżbiety, która w nieszczęśliwem żyła małżeństwie. Podług Pamiętników Balińskiego skreślił postać historyczną Barbary Radziwiłłówny, i nie uwodząc się romantyzmem i uwielbieniami, z faktów jakie podały pamiętniki, narysował prawdziwy i najartystyczniejszy portret Barbary. Zaślubiny Klementyny Sobieskiej z Jakubem Stuartem należą do tej samej kategorii szkiców.

„Święta Kinga“ wychodzi nawet po za granice prostego szkicu, prostej biografii. Pomimo tego że Szajnocha chce wiązać całe swoje opowiadanie li tylko do żywota Kingi i ztąd zawód świętej niewiasty rozwija w trzech oddziałach, p. t.: „Posag, pierścień i klasztor,“ jest to zawsze coś więcej jak święta Kinga, są tutaj wielkie odłamy historii kraju za Bolesława Krzywoustego. Pierwsze napady Mongołów na Polskę, w nowy opowiedziane sposób, pochod nieprzyjaciół dokładnie wskazany, ocenione usiłowania bohaterki Polski, żeby wstrzymać nawałę barbarzyńską.

Szajnocha czasami wyłącznie nawet poświęcał się krytyce; w rzeczach drobniejszych szczęśliwy, nie zrobił przysługi nauce poglądami rozleglejszemi. Lechicki początek Polski, stawia paradoks tak widoczny o pochodzeniu szlachty naszej ze Skandynawii, że li tylko głowie poetycznej, ekscentrycznej, mogło się widzieć prawdą to, co tam napisał.

A Szajnocha ma jednak częstokroć i rzut oka tra-

fy. Zbijał pomysł o Miorszu, który utworzył także w fantazyi poetyckiej August Bielowski; zresztą zbijać to było łatwo. Ale w czém główna zasługa jego pod względem krytycznym, to w rozjaśnieniu stosunków Jadwigi z Wilhelmem rakuskim; krytyka jego wyszła z boju zwycięzka, ale straszne, zaciekle staczała walki. Ludzie co lubią ideały w historii, dla których nauka dziejowa jest nauką systematu, kursem pedagogicznym, poezją, gniewali się na Szajnochę, że Jadwigę odzierał z nieprawdziwego uroku, w jaki ją wieki całe ubrały. Gniewali się za to na niego szczególnie Pol i ks. Żetowski. Pytali się przeciwnicy co zyska na tem naród, że ideał zniknie? Lepiej go zatrzymać i ludzię się ciągle. Ale historia jest nauką prawdy przedewszystkiemi i pragnie dojść prawdy; dla historyka tedy prawda, choćby i najbrzydsza, lepsza jak najśliczniejszy ideał. A wreszcie co straciła Jadwiga na uroczej piękności swojej w dziejach, w czém zbladło jej poświęcenie się dla narodu, w czém jej zasługi zbladły, że historyk wykrył prawność jej stosunku małżeńskiego do Wilhelma? Jadwiga była i jest zawsze ideałem, a jednak lepiej znamy teraz życie tego ideału.

Zasługą też Szajnochy krytyczną jest zabicie baśni o miłości platonicznej Oświecimów, o której u nas już tyle razy pisano w różny sposób, i ztąd życiorys samego bohatera powieści Stanisława, którego dyaryusz i notaty znalazł autor w bibliotece Ossolińskich we Lwowie, wielce zajmują. Owszem poznajemy tutaj postać ciekawą, która dotąd w historii nie gościła, a warta jest tego. Oświecim był ochmistrem Władysława IV, kiedy ten jeszcze był królewiczem.

Zasługą Szajnochy jest także wykrycie prawdziwego autora poematu o wojnie chocimskiej. Przypisywano go popolicie Jędrzejowi Lipskiemu, podwojewodzie mu sanockiemu; Szajnocha wykrył że był nim Wacław Potocki, autor Pocztu herbów i Fraszek, tłumacz Sylwety i Argenidy. Potocki tutaj przepisywał siebie z dawniejszych dzieł swoich, kopiował, poprawiał, dawną węgą swoją się sztukował.

Szajnocha, powiedzieliśmy to już kiedyś, ma zdaje się w literaturze naszej posłannictwo rozlać znajomość historii na massy ciekawe (Bibl. Warsz. 1854 IV str. 578 i t. d.). Po pięciu latach nie cofamy tego sądu. Wybujała ślicznie poezja i powieść nasza, ale inne gałęzie literatury jeszcze w uspieniu; zdaje się nadchodzi teraz czas na historję. Publiczność, dostrawny ciężkiej nienawyki, zaprawia się teraz do pióra i kształci; od powieści i poezji ma przejść do rzeczy poważniejszej. Otóż Szajnocha, zajmującymi swojemi szkicami i szerszemi opowiadaniem historycznymi, wciągnął publiczność do czytania, do uczenia się, do głębokiego zastanawiania się nad sobą. Nie utrzymujemy tutaj by Szajnocha nie ogłaszał rzeczy ciekawych nawet dla fachowych ludzi, ale niechby na tymczasem samym profanom wystarczył, a będzie miał wielką zasługę. Pomaga mu do tego talent znakomity, który bądź co bądź nie jest szczerze historycznym talentem; ale formą tak góruje ponad wszystkich Szajnocha, że nie dziwić się wielkiej jego wziętości wśród narodu dla którego pisze.

Julian Bartoszewicz.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

Jakkolwiek w zeszłej „Kronice“ ocenionemi już zostały ostatnie prace p. Sypniewskiego, pozwalamy sobie jednak powiedzieć jeszcze słów kilka, z powodu obrazu przedstawiającego psy malowane z natury; a czynimy to z przyczyny, że tego rodzaju utwór poraz pierwszy został wykonany przez polskiego artystę, na wyraźne żądanie amatora.

Niemasz narodu, któryby więcej rozmiłował się w zwierzętach jak Anglicy; i nie dziw, bo nawyknięcie do życia spokojnego ważnym jest tego powodem. Wielu francuzkich malarzy w ostatnich czasach, za jeło się także zwierzętami, w odrębny jednak sposób zapatrując się na nie. I tak: Anglik szuka w zwierzęciu przedewszystkiemi instynktów szlachetnych i namiętności jemu właściwych, Francuz pięknych linii i ruchów, bogactwa w kolorycie. Jeżeli więc Anglicy w zapale swoim nazbyt może wielkie znacze-

nie zwierzętom nadają, a Francuzi za bardzo gonią za efektem barw, to jednak usprawiedliwieni być mogą, jedni obyczajem narodowym, drudzy rozległą już uprawą najwznioślejszych pomysłów historii i poezji. Ale u nas, gdzie tyle skarbów, tak w dziejowym życiu jako i w obyczajowym, spoczywa nietkniętych penzlem, należałoby więcej o zacności ludzkiej pomysłu i takową w miejscowy charakter i barwę przyodziewać. Zwierzęta, zdaniem naszym, wystawiane tylko być mogą pośród natury jaka je otacza, lub w zewnętrznych stosunkach z ludźmi; samoistnie bowiem, jak nie mogą mieć znaczenia w życiu, tak też i w sztuce. Jeżeli dotąd pomysły artystów naszych niezawsze nacechowane były pewną myślą, coby życie swoje czerpała w wyższych, rodzinnych żywiołach, to obecnie, gdy młodzieńcze już puściła pączki, trzeba by pomysłu o zdrowych dla niej sokach.

W najnowszych pracach p. F. Kostrzewskiego spostrzegamy pewien odcień postępu, szczególnie w kolorycie. Jego „Zachód słońca“ wiele ma w sobie prawdy i powietrza, a gdyby przód obrazu był w silniejszym tonie utrzymany, figurki i krowa dokładniej narysowane, obraz ten nietylko czyniłby wrażenie całości i harmonii, ale zyskałby na większej jeszcze wyrazistości i głębi. Ostatni obraz rodzajowy tego artysty przedstawia „Bernardyna uczącego dzieci wiejskie.“ Widać tu większe usiłowanie wykończenia, jak w dawniejszych jego pracach. Chętnie uznajemy ten kierunek i dlatego nie będziemy się szczegółowo zastanawiać nad usterkami tego obrazu, bo wiemy, że każde przejście w działalności artystycznej jest trudne i pociąga za sobą koniecznie chwilową niepełność, która się i w rysunku, i w kolorycie dostrzegać daje. Nadmieniamy tylko, że w całym obrazie przebija się kolor niebieskawy, nazbyt konwencyonalny, a szczegóły, jak pies i owoce obok księdza leżące, za metalowy mają połysk, co ujmuje im prawdy. Jednakże sam wybór przedmiotu jest daleko więcej interesujący, jak w innych rodzajowych obrazach p. Kostrzewskiego, i dlatego radzibyśmy częściej widzieć podobne objawy jego myśli.

Dwa krajobrazy p. Marka, obecnie znajdujące się na wystawie, tak co do siły tonu jako i prawdy mniej nam się zdają być dobre, niż energiczny jego krajobraz dawniejszy; obadwa bowiem w jednostajnym, nazbyt mglistym kolorycie utrzymane, rażą monotonią; osobiwie też krajobraz pobrzeżów Wisły pod Warszawą, pomimo wyborniej perspektywy, nie nosi wcale na sobie piętna miejscowej natury. Widzimy tu wiele zalet, jako to: przezroczystość wody i zręczny a naturalny układ obłoków; ale ta rzeka zupełnie nam szarego tonu Wisły naszej nie przypomina, a mniej jeszcze brzegi pierwszego planu, które zamiast swojego wrażenia, przywodzą nam na pamięć właściwy niemieckim malarzom manier traktowania pobrzeżów morskich. P. Marek wiele posiada malarzkiej techniki i uczucia perspektywy powietrznej; brak mu tylko większego wtajemniczenia się w naturę kraju naszego, żeby zostać dobrym pejzażystą.

Obraz p. J. Suchodolskiego, „Odwrót armii francuzkiej przez Berezynę,“ znajduje mnóstwo ciekawych widzów; i nie dziw, bo ta wielkich rozmiarów kompozycja, wiele też ma istotnych zalet, tak dla surowych znawców, jako i dla ogółu lubowników sztuki.

Na dalekim planie widać krzyżujące się tłumy wojsk, cisnące się na mosty i przebywające wbród rzekę pokrytą krami. Pośrodku, nieco ku prawej stronie, stoi zadumany Napoleon w gronie sztabu, za nim ułani polscy na koniach otuleni w płaszcze, Ruch tu panuje wielki, skupiony jakby kołyszące się fale morskich bałwany. Na przodzie dopiero cała dramatyczność tego okropnego odwrotu odsłania się, i chaotyczna masa grupuje się tutaj w pojedyncze sceny rozpaczy, rozmaitego wyrazu. Tu żołnierz cuci dziecię nawpół umarłe na łonie omdlewającej matki; dalej pies wyje na zwłokach pana swego, do połowy zasutego w śniegu; obok kobieta okryta brudnymi lachmanami, rozpaczliwie szablą zmusza do prędszego biegu konie, upadające pod ciężarem naładowanego furgonu, a tuż obok druga kłęczy w bogatym stroju, i w niemém osłupieniu trzyma umarłe dziecię, powinęte zmrożoną chustą. Dodajmy do tych strasznych scen cały nieład zdruzgotanych przyborów wojennych, przypruszony śniegiem, a będziemy mieli słabe tylko wyobrażenie tej zgrozy wojennego zniszczenia.

Któż nie upatruje ogromnych trudności tego obrazu, w którym artysta, mając przedstawić tak różno-

rodne tłumy, zmuszony był wyjść zwycięzko z natłoku szczegółów zabijających całość wrażenia, nie mając do tego nawet swobody rozporządzenia światłem, gdyż pora zimowa krępowała i ten ostatni a najsukteczniejszy może środek. Wyznać musimy że znakomity nasz artysta okazał wielką umiejętność światłocienia, kiedy przy całej ponurości zimowej, tyle zdołał w całości wydobyć efektu. Są i tu w szczegółach usterki, jak np. zbyt świeżość w niektórych sukniach, co sprzeciwia się charakterowi ogólnego zniszczenia; ale to małoznaczące wady tam, gdzie kompozycja umiejętnym układem, trafnym ugrupowaniem i ogólnem pojęciem trwałe i prawdy pełne wrażenie pozostawia.

Im więcej prac p. Suchodolskiego widzimy, tém bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że w takich faktach historycznych, gdzie dramatyczność sytuacji bardziej tkwi w massach, niżeli w pojedynczych indywidualach, gdzie chodzi więcej o ogólne wrażenie całości akcji, jak o szczególny objaw charakterów różnego znaczenia, p. Suchodolski okazuje zupełną pewność siebie i wyższe artystyczne zrozumienie rzeczy. Na poparcie tego zdania, stawiamy z jednej strony Obrońcę Częstochowy, Wąwóz Sierra Morena i przejście przez Berezynę; z drugiej Księcia Poniatowskiego wskakującego w Elstere, Wita Stwosza, Farysa i świeży pomysł Kafarka, słynnego trębacza kresowego, z poematu Mohort.

Posłuchajmy najprzód poety:

„Poczt był przesłiczny, gdy ruszył po błoniu:
Na przedzie jechał na srokatym koniu
Najstarszy trębacz, sławny nasz Kafarek,
A za nim siedział na kuli Zegarek.

Kafarków srokacz nie dotykał darnia,
A nocą świecił przodem jak latarnia:
Sam zaś Kafarek był myśliwy sławny,
I do sokołów i do chartów sprawny;
Tuż przy nim biegło zawsze chartów kilka,
Z których brał każdy pojedykiem wilka.

Kiedyśmy kresów objeżdżali krańce,
A noc zapadła nas czasem na stepie,
Wówczas rozpałał Kafarek kagańce
I nieraz przygrzał Tatarowi w ślepie,
A lulkę przy nim pozwolił zapalić,
I w dobrej zgodzie z granicy oddalić.“

Układ całego obrazu dobry, chociaż nie nowy, szczegóły, jako to: srokacz, kogut zwany Zegarkiem, charty i kaganiec ściśle zachowane i pomieszczone, stosownie do myśli poety; ale Kafarek nie okazuje ani namiętności i bystrości myśliwca, ani butności nieustraszonego żołnierza. Całe wewnętrzne znaczenie tej postaci jest za słabe, i dlatego też efektowny rzut światła od kagańca, umiejętnie rozlany po figurach, nagrodzić nie może braku wyrazu i ruchu, jakiego po niej domagać się mamy prawo. Za to Mohort, jadący swoim zwyczajem na boku, do wyrazu bystrości, właściwej temu dzielnemu i wiecznie czuwającemu bohaterowi. Już to w pomysłach pana Suchodolskiego zwykle jakaś struna narodowa oddźwięka, a chociaż niezawsze staje na wysokości dziejowego ducha i wymagań sztuki, kierunek ten jednak i niezmordowana praca zapewniają mu trwałe znaczenie i wspomnienie, tak w sztuce krajowej, jako i w sercach rodaków.



Panu Leopoldowi K. w Kielcach. Nadesłanych poezji, pomimo ich udatności drukować nie możemy, już to dla braku miejsca, już też że wszystkie prawie mają cechę zbyt egotycznej. Pustelnikowi z okolic Ciemnogrodu. Przekłady Pańskie z Béranger'a wierne są i piękne; drukować ich jednak w „Tygodniku“ nie możemy, bo nawet na wyborowe poezje oryginalne rzadko bardzo mamy w nim miejsce.

Panu Józefowi D. we Lwowie. Za nadesłane końcówki szachowe uprzejmie dziękujemy i wkrótce zrobimy z nich użytek. Rysunki zamieścimy, jeżeli kto z literatów galicyjskich skreśli stosowny do nich opis, czego my tutaj, nie znając bliżej przedmiotu, uczynić nie możemy. Podawanie w dziele szachów całych partij wyborowych, w teraźniejszych ramach naszego piśmnia uważamy za niemożliwe.

HISTORIA JEDYNACZKA W 32 OBRAZKACH.

(Według pomysłu L. Kunickiego, rysował F. Kostrzewski.)

(Dalszy ciąg.)



Nr. 23.
Rodzice panny przyjmują go nadzwyczaj grzecznie.



Nr. 24.
Ale panna zupełnie nie odpowiada jego czulym gruchaniom.



Nr. 25.
Niezrażony t \acute{e} m jednak, szturmuj \acute{e} dalej do serca panny, która mu coraz jawniej swą niechęć objawia; oprócz tego zastaje tam milczącego pana kapitana, który nań bardzo z ukosa spogląda.



Nr. 26.
Za następną bytnością pan kapitan, wzięwszy go na stronę, szeptem mu na ucho: — „Jeżeli pana raz jeszcze ujrzę tu przy panie Karolinie, której serce napróżno starasz się pozyskać, bo je innemu już oddała, w takim razie rozprawiać się zemną będziesz musiał!...“

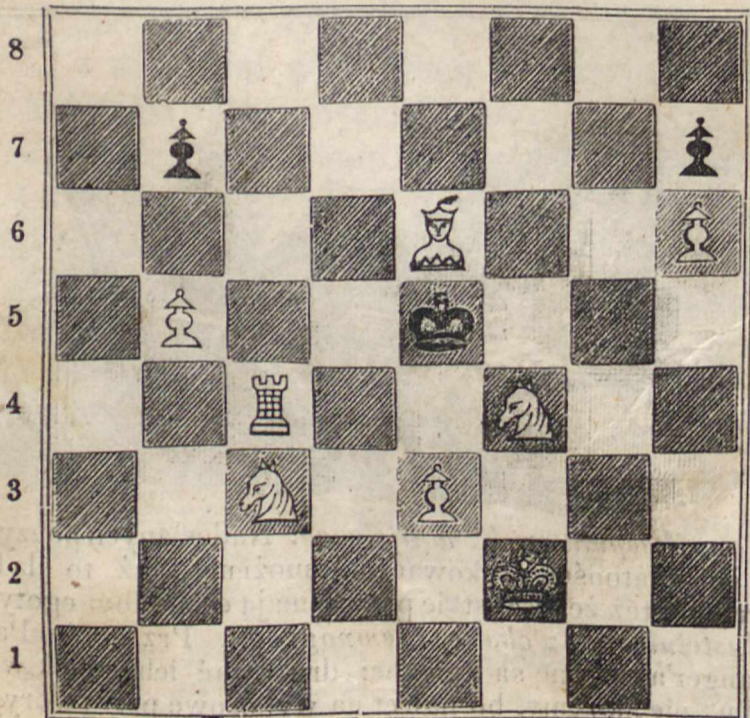
SZACHY.

ZADANIE VII.

(Mikołajew z Kańska).

Białe zaczynają i dają matę laufrem za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.



Nr. 27.
Namyśliwszy się w domu nad t \acute{e} m co od kapitana usłyszał, daje za wygraną i wysztyftowawszy à l'anglaise liberyą, jedzie jeszcze do Warszawy. (Dokończ. nast.)

Rozwiązanie zadania konikowego umieszczonego w numerze 9.

Pierwsza z drugą od zabawy,
Do ruiny i niesławy
Czl \acute{e} ku prostą drogę ściele.
Czwarty z trzecim w ludzkim ciele,
Jak i w prawdzie, bywa wstrętny.
Wszystko wielki gród pamiętny,
Który niegdyś, (nie dla rymu)
Wiele ważył w dziejach Rzymu.

(Znaczenie: Kar-ta-gi-na).

REBUS.



0 1^o Q 2^o K



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 9.
I ten między arystokratami, kto ma worek z dukatami.